

Teksty Drugie 1998, 1-2, s. 185-206



Upublicznione fragmenty rozmowy z Danutą Danek

Rozmowy

Upublicznione fragmenty rozmowy z Danutą Danek

Redakcja: *Lada dzień ma ukazać się w wydawnictwie naszego Instytutu Pani książka „Sztuka rozumienia. Literatura i psychoanaliza”. Słyszeliśmy, jak na korytarzu mawiąta Pani o niej „moje dzieła przedśmiertne”. Pozwoli więc Pani, że nieco strwożeni, zapytamy najpierw, jak się Pani miewa?*

Danuta Danek: I owszem. Rozpaczynam właśnie zapowiadane nowe życie. Jeszcze tylko errata i wyzbywszy się ciężaru przygotowywania tej publikacji, zaczynam żyć zupełnie inaczej. Co znaczy przede wszystkim, że odtąd z książkowym wydaniem moich prac nie będę już nigdy zwlekąta tak długo i nie wydam już nigdy książki tak ogromnej: odtąd już tylko małe gustowne dziełka, i od razu do wydawcy. Okazało się, ku mojemu zaskoczeniu, że tom ma prawie sześćset stron. Gdybym była czytelnikiem, nie wiem, czy wzięłabym coś takiego do ręki. Popatrzyłabym tylko na okładkę.

R: *Ładnie Pani zachęca czytelników. Co jeszcze Pani powie, aby ich zniechęcić?*

D. D.: Czytelników! Kto u nas teraz interesuje się takimi sprawami? Nie spodziewam się czytelników, tak jak do swojej problematyki nie mam roboczych rozmówców. Ale to tak między nami. Bo we *Wstępie* proszę *expressis verbis*, aby czytelnik nie zniechęcał się tak znaczną objętością

książki, jako że każda ze współtworzących ją prac – choć współtworząc określony świat duchowy, prace te wyjaśniają się i poszerzają wzajemnie – stanowi całość, samą dla siebie, toteż każdą można czytać osobno, niezależnie od innych. A na okładce jest naprawdę coś pięknego: reprodukcja *Kobiety czytającej list przy oknie* Vermeera, z diapozytywu sprowadzonego wprost z Drezna. Ta reprodukcja na okładce to główna moja przyjemność w całej sprawie. Bo trud ponownego opracowywania, przy przygotowywaniu publikacji książkowej, prac już dawniej, a choćby też i niedawno napisanych, wracanie do nich, gdy ma się już nowe na warsztacie, choć i do tych dawniejszych wprowadzałam nieraz wiele nowego, a także dopisałam nowe, to trud bardzo uciążliwy. Dlatego między innymi tak długo nie mogłam się na niego zdobyć.

R: *O tym obrazie Vermeera pisała Pani, publikując w „Tekstach” nowy przekład siedemnastowiecznej francuskiej powieści w listach, słynnych „Listów portugalskich”. Ujrzała Pani w poetyce listów zakonnicy portugalskiej prekursorski w skali światowej strumień świadomości, rodzaj monologu psychoanalitycznego „avant la lettre”. Zapewne więc teraz w Pani książce znalazła się także ta rozprawa i do owych listów nawiązuje „Kobieta czytająca list przy oknie?”*

D. D.: Tak, przy czym teraz obraz ten, w powiązaniu z tytułem całości książki, nabiera naturalnie wielu jeszcze innych znaczeń metaforycznych, to obraz postawy w ujmowaniu tytułowego problemu, dlatego go wybrałam. W obrazie, jak wiadomo, można przekazać więcej jednoczesnych znaczeń niż w słowie. A niezależnie od tego, list, osobisty, prywatny list, ma szczególne znaczenie w mojej biografii osobiście-naukowej, która doprowadziła mnie do książki, o której mówimy. Jest to wprawdzie moja prywatna sprawa, osobista, prywatna strona sprawy publicznej, jaką jest książka, ale autor ma prawo do wyrażenia, w taki czy inny sposób, również pewnych swoich ukrytych treści osobistych, choćby nikt nie domyślał się tego. Wspominam o tym, skoro rozmawiamy osobiście. Co zaś do owej rozprawy o *Listach portugalskich*, to poszerzyłam ją o pewne wątki, bo teraz oczywiście o wiele więcej jeszcze widzę w tym niezwykłym utworze niż dawniej.

R: *Skoro potrąciliśmy o zawartość Pani książki: może rzut oka na całość?*

D. D.: Pedantycznie?

R: *Na początek.*

D. D.: Książka składa się z kilku części. Najpierw część zatytułowana *Perspektywy nowej antropologii*, rodzaj najogólniejszego kontekstu tego ujęcia, które reprezentują dalsze prace przedstawione w tomie, te „właściwe”. Potem, w dwu częściach, następują te „właściwe”; zajmują się w nich już bezpośrednio utworami literackimi. I owe dwie części tworzą zasadniczy trzon literaturoznawczy książki (po nich są jeszcze dwie inne części i na końcu jedno *Nawoływanie*). Najpierw jest część *Poetyka w świetle psychoanalizy*.

R: *Aluzja do programowej rozprawy Romana Jakobsona „Poetyka w świetle językoznawstwa...”.*

D. D.: Istotnie, przyznaję nieskromnie, że ta część ma w pewnym sensie charakter programowy, choć bez żadnych fanfar: wszystko zawarte jest w konkretnej, wykonywanej w żywym procesie pracy, robocie (jeden tylko mały tekst to skondensowane tezy ogólne, ale taki kondensat zamówiono u mnie na pewną międzynarodową konferencję), i bez żadnych roszczeń do całości świata: nie zawłaszczam całej literatury, całej wiedzy o niej, wszelkiej interpretacji literackiej itd. Po prostu pokazuję – tak konkretnie właśnie, że mam nadzieję, że przekonuję – jak dalece wiedza o znaczeniowości człowieka, a zwłaszcza o b u d o w i e twórców znaczeniowych człowieka, o ich konstrukcji, wniesiona przez klasyczne Freudowskie doświadczenie psychoanalityczne, może być dla nas p o m o c n a wówczas, kiedy chcemy rozumieć określone konstrukcje literackie, artystyczną budowę pewnych dzieł, ich poetykę, ich j a k (są zrobione) – oczywiście po to, aby lepiej rozumieć, c o nam mówią, jaką wyrażają wizję człowieka i świata. Jest to wykorzystywanie niezwykle bogatego semantycznego warsztatu klasycznej Freudowskiej psychoanalizy, jej semantycznej narzędziowni, semantycznych pojęć i metod, do znaczeniowej analizy określonych literackich f o r m, do analizy sensu przekazywanego już w samych formach. A nie, jak czyni się to zazwyczaj w pracach łączących literaturę i psychoanalizę, do analizy tzw. tematów.

R: *W potocznej świadomości psychoanaliza to zawiła analiza odmetów ludzkiej psychiki. Dla Pani psychoanaliza jest klarowną analizą znaczeniowości człowieka, jak Pani się wyraziła. W pierwszej chwili brzmi to jak jakieś przeintelektualizowanie, ale ze słów, jakich Pani używa, widać, że patrzy Pani na psychoanalizę, której początki sięgają przecież sto lat wstecz, do przelomu wieków, z perspektywy naszych współczesnych dyscyplin dwudziestowiecznych. Freud jako współczesny semantyk.*

D. D.: Jako arcysesantyk, bo jego psychoanaliza jest przecież swoistą pansemantyczną koncepcją człowieka. Podstawowe założenie psychoanalizy, które wzięło się z prekursorskich odkryć Freuda, to założenie pansemantyczne, czyli zakład co do istnienia sensu – we wszystkich przejawach życia człowieka, nawet na pozór całkowicie naturalistycznych, by tak powiedzieć, i na pozór tak nic-nie-znaczących, jak drobne przejęzyczenie, zapomnienie o czymś, wypadnięcie czegoś z ręki. A nawet w przejawach, co było najważniejsze, zdawałoby się absurdalnych. Freud odkrył w tym wszystkim swoiste akty twórcze człowieka, choć bezwiedne, bo swoiste wypowiedzi, o określonej znaczeniowej konstrukcji. W chorobie, zaburzeniu psychicznym, odkrył wypowiedź. Wypowiedziami okazały się nasze conocne sny. Śnienie to powszechna ludzka twórczość znaczeniowa, choć bezwiedna. Tylko uprawiana przez nas, bezwiednie, w tak szczególnych formach znaczeniowych, w tak szczególnej poetyce, że póki Freud nie poznał się na tych formach, nie wniknął w budowę znaczeniową snu, w jego poetykę, sądziliśmy, że sen to bezsens, a nie pełnozaczeniowy twór człowieka. Nawet w najbardziej zawiłych zawiłościach umysłu ludzkiego, bezustannie, jak się okazało, czynnego twórczo, i to czynnego twórczo nawet w umysłowej chorobie, Freud odkrył, że nie jest to jakaś magma bez możliwości rozróżnienia w niej czegokolwiek i bez sensu, ale określone znaczeniowe formy. Co odkrywszy, mógł dotrzeć do ich treści.

RED.: *Słowem, Freud znał się na poetyce, twierdzi Pani. I z jego znawstwa nawet my, profesjonalni badacze poetyki utworów literackich, możemy wiele skorzystać. Jak to wygląda w praktyce? Czy mogłaby Pani dać jakiś przykład z Pani prac?*

D. D.: Może powiem więc parę słów o najobszerniejszym studium w części *Poetyka w świetle psychoanalizy*, pokazującym metodę najkonkretniej. Ma ono dwuczłonowy tytuł *Poetyka snu w „Operetce”*. *Martwota i wskrzeszanie z martwych podmiotowości człowieka*. Pierwszy człon, jak widać, odnosi się do konstrukcji, formy, drugi do treści t w o r z o n e j w dramacie ową formą, i to tworzonej chyłkiem, milczkiem, w sposób niemal niepostrzeżony, a pełnowartościowy znaczeniowo, i to jak pełnowartościowy! Bo gdy już zacząć tę konstrukcję w dramacie spostrzegać – oczyma, które dzięki doświadczeniu psychoanalitycznemu nawykły takie szczególne, a chyłkiem, milczkiem tworzone przez człowieka (w różnych okolicznościach zwykłego życia) konstrukcje znaczeniowe rozpoznawać, i które nawykły, nauczyły się wnikać w przekazywane przez nie znaczenia – wtedy rozpowija nam się powoli w oczach, mówiąc słowami Norwida, niemal niewidoczny przedtem w dramacie Gombrowicza, przebogaty, a przy tym niezwykle precyzyjnie stwarzany sens.

RED.: *Nie chodzi więc Pani o sen jako jawne zdarzenie w akcji dramatu, o to, że ktoś w nim śni. Chociaż właściwie cała „Operetka” rozgrywa się jakby w artystycznej malignie sennej, która w scenach kulminacyjnych przechodzi w jakiś koszmar senny, w szaleństwo.*

D. D.: A ponieważ oczywiście w tym szaleństwie jest metoda, i to wręcz rygorystyczna... Istotnie nie chodzi mi o sen jako zdarzenie. Chodzi o pewną specyficzną budowę znaczeniową, właśnie rygorystyczną, żelazną nawet, właściwą snom, a odkrytą w klasycznej psychoanalizie Freudowskiej. Rygorystyczną – bo nie chodzi mi również o mglistą oniryczność...

Swoją robotę przeprowadzam, analizując kwestie jednej z postaci, na pozór mało ważnej w tym utworze – Proboszcza. „Zwykłe” kwestie. Proboszcz nie śni. Nie mówi przez sen. Mówi „zwyczajnie”, na jawie. Ale mówi dziwnie: tylko wytartymi na pozór do cna formułkami *quasi*-liturgicznymi albo dziwnie bezosobowymi gramatycznymi wygibasami. Próbuje pokazać, że jeżeli nie rozpozna się, że postać Proboszcza – kwestia po kwestii, sytuacja po sytuacji, wygląd po wyglądzie (jego „czarna sutanna” też okazuje się wypowiedzią) jest w dramacie budowana według tych samych, szczególnych zasad znaczeniowych, co twór znaczeniowy, jakim jest sen (w klasycznym ujęciu psychoana-

litycznym), to w ogóle nie sposób zrozumieć tej postaci: tego, co Proboszcz naprawdę mówi, co naprawdę czyni, po co wygląda tak jak wygląda, co naprawdę rozgrywa się między nim a innymi, po co niby tylko błąka się w tym dramacie, niby tylko gdzieś w tle. Prowadzę znaczeniową analizę tego wszystkiego, kwestia po kwestii, sytuacja po sytuacji, wygląd po wyglądzie, według rygorystycznych zasad analizowania budowy znaczeniowej właściwej snom, zasad, których nauczyłam się w pracy psychoanalitycznej, choć na zupełnie innym materiale. Odsłania się przy tym matematyczne wręcz, można powiedzieć, zrygoryzowanie konstrukcyjno-semantyczne tej na pozór rozpasanej *Operetki*, właściwe nawet jej najmniejszym drobinom. Lub inaczej, odsłania się, że najmniejsza drobina dramatu, aż do niemal niezauważalnego szczątka słownego, na pozór ginącego w dialogu, jest arcyważna, jest skonstruowana według tej samej artystycznej metody semantycznej co całość dramatu i przekazuje ten sam najistotniejszy sens czy wariant sensu, o który – moim zdaniem – chodzi w całości *Operetki*, czy wokół którego toczy się w *Operetce* wszystko.

Skądinąd, na tym przecież polega między innymi arcydzielność arcydzieł. Również tego arcydzieła, jakim jest każdy człowiek, którego arcydzielności właśnie nic dowodniej nie pokazuje, jak ta przebrzydła zdaniem wielu, godna pogardy, symplicystyczna psychoanaliza.

RED.: *Narzuca się tu pytanie, czy Pani praca analityczna jest równocześnie w jakimś sensie „psychoanalizą” autora?*

D. D.: Nie, pozostaję w obrębie utworu. W mojej książce nie ma ani „psychoanalizowania” autorów, jak mógłby się ktoś spodziewać, sądząc z tytułu *Literatura i psychoanaliza*, ani, o czym też chyba powinienam uprzedzić, żadnych „izmów”. A w szczególności nie ma Francuzów, co to rozgadali Freuda na drobne. I sam język ich niesie, w niebotyczne, niedościgłe kręgi, skąd już nie widać ani zarysu ziemi...

Wracając więc do tego, co w książce jest, ta jej część, o której mówiłam, pokazuje warsztat. Dołączyłam do niej małą podczęść, *Jeszcze z warsztatu*.

W drugiej zasadniczej części książki, *Psychoanalitik w teatrze. Z psychoanalitycznych odkryć egzystencjalnych*, staram się pokazać już nie tylko treści zawarte w szczególnych, rozpoznawanych dzięki wiedzy psychoanalitycznej, formach utworu. Wykorzystuję tę wiedzę również

(bo o formach nie zapominam) przy analizie, by tak rzec, treści zawartych w treściach utworu, to znaczy bliższa już jestem tzw. tematom.

Temat – jeśli prowizorycznie zostać przy tym określeniu – do którego docieram w utworach literackich jako do pewnych treści ukrytych w ich treściach, mogłabym nazwać umownie tematem bettelheimowskim, choć właściwiej byłoby mówić o doświadczeniu, a nie o temacie, co jest różnicą niebłahą.

Najkrócej, jest to doświadczenie śmierci wewnętrznej. Różnych postaci samoznisczenia. Takie doświadczenie przy tym, które wywodzi się z bardzo wczesnych okresów życia dotkniętej nim osoby (wcześniejszych od okresu zwanego umownie edypalnym). Ze względu zaś na ową wczesność doświadczenie to jest niezwykle trudne do wyrażenia, a tym samym do odkrycia, choćby dlatego, że wiąże się z tymi fazami życia człowieka, w których nie opanował on jeszcze mowy słownej: pasuje się z tym doświadczeniem w całkowitych mrokach nieświadomości, w całkowitych mrokach bezsłowności. Toteż w historycznym rozwoju klasycznej psychoanalizy zaczęto docierać do owego doświadczenia stosunkowo niedawno, w miarę poznawczego posuwania się coraz bardziej wstecz, licząc od życia dorosłego, do coraz wcześniejszych, więc i coraz trudniej dostępnym poznaniu faz rozwojowych człowieka, do zaczątków jego życia, a tym samym coraz bardziej w głąb naszego człowieczeństwa, do samych jego rudymentów. Najgłębiej jak dotąd wniknął w to doświadczenie Bruno Bettelheim, stąd moje umowne określenie.

Ponieważ owe psychoanalityczne odkrycia dotyczące tego, co dzieje się z nami – wewnątrz, a zarazem międzyludzko – w samych zaczątkach życia, nie są u nas dotąd powszechniej znane, daję o nich pewne wyobrażenie w następnej z kolei części książki, *W głąb człowieczeństwa*. Jest tam też esej napisany w pięćdziesięciolecie śmierci Freuda. A w tej części, o której zaczęłam mówić poprzednio, *Psychoanalizy w teatrze*, pomieściłam właściwie dwie recenzje. Pewnego warszawskiego przedstawienia *Lorenzaccia* Musseta i wcześniej, Dejmkowej prapremiery *Operetki* w Łodzi.

RED.: *Recenzje, mówi Pani? Jeśli rzecz o warszawskim „Lorenzacciu” jest tym studium, które opublikowała Pani kilka lat temu w „Twórczości”, to pomijając wszystko inne, musiało być tego dobrych kilkadziesiąt stron maszynopisu.*

D. D.: Sześćdziesiąt. Odkąd mam w sobie swoje doświadczenie psychoanalityczne, to gdziekolwiek się ruszę, a tym bardziej do teatru, już niczego z mojego widzenia spraw nie umiem wytłumaczyć mniej gruntownie niż na co najmniej sześćdziesięciu stronach. Mimo że zawsze z początku wydaje mi się, że wystarczy mi ledwo parę stron.

RED.: *Sześćdziesięciostronicowa „recenzja” nie jest dla czasopisma... To raczej takie małe gustowne dziełko, by nawiązać do tego, co mówiła Pani na początku...*

D. D.: Toteż zanosząc ten tekst do „Twórczości”, nie miałam wielkich nadziei na druk. Ale jednak stał się ten cud. A potem, po ukazaniu się tego psychoanalitycznego studium „zagadki życia” Lorenza (by użyć jego własnego wyrażenia), stał się kolejny cud: okazało się, że miałam czytelnika. Otrzymałam wielki list od kogoś z drugiego krańca Polski, i bynajmniej nie naszej profesji (a mówi się, że u nas nikt nie czyta czasopism literackich; ach tak, i że romantyzm, problemy bohatera romantycznego, to u nas już coś całkowicie przebrzmiałego): „Jak to możliwe, że Pani tak mnie rozumiała?... A ja przez całe lata drażyłem, szukałem, czytałem...”

Ja też zadziwiłam się. Ale – jak gdyby mnie to studium strzepnęło się z palca. Jakbym ja nie przez całe lata drażyła, szukała, czytała, i co jest sednem sprawy, nie łączyła warsztatu badacza literatury z wieloletnim warsztatem psychoanalitycznym – czyli z osobistym, najosobistszym doświadczeniem w tej dziedzinie – a nie tylko z lekturami, choćby i najgłębszymi, z tego zakresu. A osobiste doświadczenie psychoanalityczne, traktowane serio, bywa krwawe. I to po obu stronach tej ciężkiej pracy, w obu rolach, i w roli tzw. pacjenta, i w roli tzw. terapeuty. Studium „*Lorenzaccio*” i *samozniszczenie* jest pisane krwią (i nie ono jedno w tej książce), choć tego nie widać. Mój czytelnik to wyczuł; wyczuł, że to nie jest papier, że to nie są gabinetowe dywagacje akademickiego literaturoznawcy czy żaden wyciąg z książek zastosowany do innych książek, bo potraktował mnie jak terapeutę psychoanalitycznego *par excellence*: do listu dołączył pustą, niezapisaną kartkę, pocztówkę, z reprodukcją pewnego obrazu na odwrocie. Spojrzałam, zaniemówiłam. Miałam już dostateczne doświadczenie, jeśli chodzi o to, co dzieje się lub może się dziać w najwcześniejszych, więc właśnie bez-

słownych czy przedślovných fazach rozwojowych człowieka, tych wczesnodziecięcych, z samych początków życia, że znając kontekst listu, zwłaszcza ładunku emocjonalnego, jakim był przeniknięty, i wiedząc, na co mój czytelnik odebrzmiał w moim studium o „zagadce życia” Lorenza, mogłam z samych właściwości formalnych tego obrazu – bo nie było na nim żadnych istot ludzkich, tylko budowla, żadnej „fabuły”, tylko forma – wysnuć domysł, jaki może być najistotniejszy problem nadawcy przesyłki czy praźródło tego problemu, w jakim czasie i miejscu wewnętrznym mógł zawiązać mu się węzeł na życiu, na możliwości życia, węzeł samozniszczenia. W jakim obszarze wewnętrznym szukać rozwiązania zagadki jego życia, czyli właśnie zagadki niemożności życia.

RED.: *To bardzo ciekawe, o czym Pani opowiada, niebanalny korespondent, mowa formy, zastosowana do analizy duszoznawczej. Mówi Pani o domysłach wysnutych z samych właściwości formalnych budowli widniejącej na reprodukcji. Czy jednak reprodukcja nie była po prostu ilustracją tego wewnętrznego problemu, który czytelnik, jak rozumiemy, przedstawił Pani w liście? Czy to nie był ten sam obraz wewnętrzny – „pejzaż wewnętrzny” – co w liście, pokazany na kartce jako obraz zewnętrzny, i dlatego przemówił do Pani mową formy?*

D. D.: Otóż nie; nie w liście, wypowiedzi słownej, przekazał mi mój czytelnik swój problem, sedno sprawy, ale w tej bez-słownej i na pozór bez-treściowej kartce, w obrazie z budowlą. W obrazie z zamgloną budowlą, widniejącą w pewnej *oddali* (najważniejszy był jednak oczywiście jej kształt), przekazał mi *niejasną*, a zarazem nieusuwalną pamięć o tym, co zdarzyło się w jego wnętrzu *dawno*, a zarazem niewzruszenie w nim trwa, zahamowawszy jego rozwój, blokując mu możliwość życia. Przekazał, jak mogłam osądzić właśnie z listu, nie wiedząc, że to czyni (to jest, co mi przekazuje), nie wiedząc, że pamięta, nie wiedząc, że wie, i to wie z ową nieomylną celnością wiedzy nieświadomej, która mnie już tyle razy zdumiała – i tak fascynuje – w procesach psychoanalitycznych o odpowiedniej intensywności. *G e n i u s z* wiedzy nieświadomej, którego ma w sobie każdy z nas, i który tylko czeka na odpowiedni impuls, aby się wyjawić (dla nadawcy listu i kartki z obrazem była to trafem lektura mojego studium), kazał mojemu czytelnikowi wybrać z niezliczonych, gromadzonych latami reprodukcji (miało okazać się potem, że żył malarstwem i architekturą,

ale bynajmniej nie z powodów zawodowych) właśnie reprodukcję tego obrazu a nie innego!

Takie zdarzenia, taka arcytrafność nieświadomości, właśnie jej prawdziwy geniusz, to coś, co zapiera dech w piersiach. Mój czytelnik nie wiedział (świadomie): latami drążył, szukał, czytał – a wiedział (nieświadomie)! Tak dzieje się w każdym z nas.

Przy tym owa pusta, nie zapisana ani słowem, odwrótne strona tej kartki *korespondencyjnej* z obrazem to był oczywiście bezsłowny, nieświadomy, symbolicznie wyrażony – także ‘obrazowo’, jak obrazem była reprodukcja – apel do mnie o ‘zapisanie’ tej kartki, o ‘opis’, ‘wyjaśnienie’ obrazu na odwrocie, o to, co w pracy psychoanalitycznej nazywa się interpretacją. O ‘przełożeniu’ na słowa, a więc na świadomość, tego, co mój czytelnik przekazał mi ze swojej nieświadomości mową archaiczną, tak często wykorzystywaną przez nieświadomość: obrazową. Był to apel o pomoc w ‘przeprowadzeniu’ treści tkwiących w nieświadomej sferze jego umysłu (i przez to, że pozostawały nieświadome, zawężających mu życie, bo póki treści są nieświadome, nie ma do nich dostępu, więc i nic nie można z nimi konstruktywnego zrobić) do świadomej sfery jego umysłu. Jak wiadomo, coś takiego to właśnie istota pracy psychoanalitycznej.

Krótko mówiąc, mój nieznany czytelnik z drugiego krańca Polski spontanicznie wdał się ze mną – znaną sobie jedynie z autorstwa „*Lorenzaccia*” i *samozniszczenia* opublikowanego w „*Twórczości*” – w żywy, choć na odległość, proces psychoanalityczny, przeznaczając mi rolę terapeuty. Sam o tym nie wiedząc... A właściwie, za moimi plecami, by tak powiedzieć, już posłużył się był mną jako terapeutą... Nie pierwsza to i nie ostatnia taka niekonwencjonalna historia w moim życiu. Ale do rzeczy! Miałam mówić, z jakich części składa się moja książka, a nie z jakich powieściowych wręcz historii psychoanalitycznych składa się moje życie.

RED.: *Słuchamy jak powieści, czy jednak Pani istotnie powieściowo nie wymyśla? Proszę nam wybaczyć pytanie niezbyt uprzejme. Wprawdzie wiadomo, że psychoanalityk – którym Pani się okazuje – zawsze wie lepiej i dlatego nie ma co wdawać się z nim w spory, ale z tą pustą stroną kartki chyba Pani jednak semantycznie przesadza. Czy to musiało w ogóle coś znaczyć? Czy to jednak nie jest semantyczne zawłaszczanie całego świata, przed którym zastrzegąca się Pani na początku? Pani*

czytelnik napisał list, nie musiał więc już nic pisać na kartce. A kartką, to jest reprodukcją dołączoną do listu, mógł po prostu chcieć sprawić Pani estetyczną przyjemność. Uznał, że Pani studium coś mu osobiście dało, więc chciał sprawić Pani przyjemność, ofiarować coś ze swojej strony.

D. D.: Najuprzejmiej wybaczam. Wprawdzie wiadomo, że z laikami nie ma co wdawać się w wyjaśnienia, bo i tak nikt nigdy ich nie przekona, ale to, co mówiłam, dotyczyło domysłów co do nieświadomych intencji znaczeniowych nadawcy przesyłki (a mówiłam o nich dlatego, że potwierdziły się potem). Jego świadome intencje natomiast najpewniej były istotnie takie. Tym pewniej, że reprodukcja była niezwykle piękna, *idealnie* piękna, pięknem *idealnym*, *idealna*... Samam *idealna*, bo moje własne najtrudniejsze problemy wywodzą się z *idealnej*, najwcześniejszej epoki życia, „kocham łąki i sonety Petrarcki”, mogłabym powiedzieć, jak Lorenzo u Musseta (ale problemy Lorenza nie są moimi problemami, jego konstelacja psychiczna nie jest moją), dlatego zdołałam poznać się nieco na sferze *idealnej*: wiem, co mówię, to znaczy wiem, co widzę na pustej stronie tej kartki, bo widzę to oczyma nieświadomości, która już na wiele rzeczy przejrzała...

Ale przede wszystkim dlatego wiem, co mówię, a nie wymyślam, nie biorę niczego z powietrza, że trzymam w ręku, oprócz listu mojego czytelnika, i prócz jego kartki, jeszcze trzeci jego twór konstrukcyjno-znaczeniowy, który mi przesłał: kopertę, w której umieścił list i kartkę. Jak był wypisany mój adres, jak naklejone znaczki, i jakie! Tak się zaś akurat składało, że wówczas gdy tę kopertę wyjmowałam ze skrzynki, byłam już od dawna ekspertem od kopert. Niegdyś bowiem, przed wieloma laty, swój własny proces psychoanalityczny, jego początkową część, odbyłam w sposób wielce niekonwencjonalny korespondencyjnie (taka psychoanaliza w listach, jak bywają powieści w listach). Toteż nauczyłam się wtedy, dawno, podczas własnego procesu, rozpoznawać już z koperty kolejnego listu mojego psychoanalitycznego terapeuty, zanim list otworzyłam, co może znaczyć choćby drobna zmiana, jaką tym razem uczynił w zapisie mojego adresu, a zwłaszcza na odwrocie koperty, w zapisie nadawcy (lub co znaczy, że tym razem brak nadawcy, nie wspominając już o takich przypadkach, jak wypisanie przez terapeutę jako nadawcy jego listu do mnie – również mnie). Czyli nauczyłam się wówczas rozumieć już z koper-

ty, jakie treści nieświadome mogły wmieścić się mojemu terapeutce w reakcję na mój list, w którym...

RED.: *Chwileczkę. To trudno zrozumieć. Jakiś misz-masz, qui pro quo. Czy Pani się nie pomyliła? Pani terapeuta zaadresował swój list do Pani, swojej pacjentki. Wypisał Pani imię i nazwisko. A na odwrocie koperty, jako nadawcę, czyli jako siebie, jako terapeutę – zamiast siebie, zamiast swojego imienia i nazwiska, też wpisał Panią, Pani imię i nazwisko?*

D. D.: Tak, nie pomyliłam się. To była j e g o, mojego psychoanalitycznego terapeuty, omyłka psychoanalityczna...

RED.: *To kto właściwie był pacjentem, a kto terapeutą, w Pani własnym, jak Pani powiedziała, procesie psychoanalitycznym? Skoro własnym, to Pa n i miała być pacjentką, miała popełniać omyłki psychoanalityczne, miała mieć rozumiane swoje treści nieświadome? A nie zajmować się rozumieniem treści nieświadomych swojego terapeuty?*

D. D.: Niestety. Ja wtedy także nie od razu mogłam uchwycić, co tu dzieje się naprawdę, zdać sobie sprawę, że naprawdę to role w moim procesie psychoanalitycznym są odwrócone, że to ja, pacjent, okazuję się w istocie terapeutą – i własnym, i na domiar, mojego terapeuty. To znaczy, że w istocie mój terapeuta jest moim pacjentem... Teraz, w słowach, może to brzmieć dla kogoś nawet komediowo, ale wtedy, przed wielu laty, gdy tkwiłam, zaplątana i w ciemnościach, w środku tej historii, była to tragedia. Decyzji, aby spróbować być pacjentem psychoanalitycznym, na ogół nie podejmuje się w celach rozrywkowych. A tu na domiar spada mi na barki jeszcze terapeuta. Gorzej niż spada na barki, bo staję się obiektem jego gwałtownej i niepojętej agresji. Tak to wtedy było!... W każdym razie, coś tej mojej osobistej, nader niekonwencjonalnej historii psychoanalitycznej zawdzięczacie. To, że możecie czytać po polsku tych parę książek Brunona Bettelheima, które przełożyłam.

RED.: *To zupełnie nieoczekiwane, co Pani mówi.*

D. D.: *Nikt mnie nie zna, że uśmiechnę się z siebie po Fredrowsku.*

RED.: *Freudowsku, chciała Pani powiedzieć.*

D. D.: Widzę, że wobec lekkiego pomieszania umysłów, do którego doprowadziła nas rozmowa, muszę spróbować coś z tego wyklarować. Jak by to przedstawić w paru słowach, sucho i prosto... Sucho i prosto to tym samym nieprawdziwie, bo kiedy jest się początkującym pacjentem, w żywym, dziejącym się międzyludzko – jako że z drugą osobą, z terapeutą – procesie psychoanalitycznym, a nagle następuje w nim coś tak najzupełniej nieoczekiwanego i zaprzeczającego podstawowym regułem owego procesu, jak ataki tej drugiej osoby, i to osoby, która miała nam gwarantować w naszym procesie bezpieczeństwo, wszystko jest całkowicie splątane, kłębi się w burzy różnorodnych emocji, długo nie sposób wywikłać z tego jakiegoś jaśniejszego sądu, jakiegoś ocalającego duchowo – z takiej katastrofy – zrozumienia.

Sądu zachciało mu się [jej] w czasie burzy!

Pioruny walą, on [ona] chce sądu!

Chce rozpatrywać, kiedy nic nie widać

Bo ciemno przecie...

W moim procesie psychoanalitycznym rychło zaczęły walić pioruny – ale nie moje pioruny w terapeuta (który ściśle od tego był, aby w niego skierowały się nawet i moje pioruny, gdyby takie w głębi mojej duszy, czyli w mojej nieświadomości, dotychczas skryte, tkwiły), lecz pioruny terapeuty we mnie. Byłam w szoku, nie mogłam w to uwierzyć i nic nie potrafiłam zrozumieć. Tym bardziej że ze swojej strony przebywałam wtedy bardzo pozytywną fazę swojej pracy i bardzo pozytywnie odnosiłam się do terapeuty. I tym bardziej sobie nie dowierzałam, że pioruny terapeuty były we mnie skrycie, zamaskowane, jakby fantomatyczne – a dotkliwie perfidne. Fantomatyczne do potęgi, bo przecież rzecz działa się na niewidziane: w listach. Osobiście zetknęliśmy się tylko podczas pierwszego spotkania. Stałam się w listach mojego terapeuty psychoanalitycznego obiektem jakiejś jego skrytej, nie wprost, a niemal furiackiej agresji, więcej niż bolesnej, wciąż nie mogąc sobie samej uwierzyć ani niczego zrozumieć.

Miałam już jednak wtedy, przed laty, pewne doświadczenie badacza literatury, badacza słowa pisanego, a zwłaszcza wyćwiczona byłam w rozumieniu skrytych sensów wypowiedzi przez Michaiła Bachtina, przez jego analizy głosu i wielogłosu, wewnętrznej wieloznaczenio-

wości nawet jednego słowa, skrytego wyjawiania się znaczeń. Połączyłam warsztat Bachtinowski z metodą Freudowską, której w moim procesie zdążyłam już nauczyć się sporo na sobie (a trudno o lepsze połączenie), i zaczęłam uziemiać te fantomy terapeuty i zaglądać im w twarz. Praca psychoanalityczna na tym właśnie polega, że chwyta się napowietrzne fantomy za nogę czy rękę i ściąga na ziemię, aby móc spojrzeć im twarzą w twarz.

I co odkryłam ku swojemu osłupieniu – bo nie wiedziałam, że coś takiego może istnieć – w fantomatycznej a zacieklej agresji mojego terapeuty? Zazdrość o moją pleć. A zarys czyjej postaci dojrzałam w środku jego fantomu wytwarzanego z nieprzytomną agresją? Zarys postaci jego matki. Było to nie do wiary, ale było: mój terapeuta popełniał na mnie – przeniesieniowo – jakieś ‘matkobójstwo’. Coś, o istnieniu czego dotąd nie wiedziałam, o czym nigdzie dotąd nie czytałam, a byłam już wtedy nieco odczytana w klasycznych pracach psychoanalitycznych. Mężczyzna, jak wynikało z nich, miał mieć przecież do ‘wykonania’ na drodze życiowej tylko ‘ojcobójstwo’... Osłupiające odkrycie, którego dokonałam, było jak słup światła rzucony na wiele „zagadek życia”. W jakiś czas potem opublikowałam w „Tekstach” trzy stroniczki, *Tezy o matkobójstwie*, suche i proste, napisane tak bezosobowo, jak chyba żaden inny mój tekst: na pozór czysta kombinatoryka konceptualna, jakaś czysta dedukcja, pokazana na literaturze, na postaciach w *Hamlecie*, a zastosowana potem także do interpretacji *Ślubu Gombrowicza* (to też jest teraz w mojej książce). Ale to nie była dedukcja. To była empiria. Intelktualna destylacja więcej niż dotkliwych osobistych doświadczeń.

RED.: *Pamiętamy ten tekst, nigdy nie domyślilibyśmy się tego*¹.

D. D.: Cieszę się.

RED.: *Wiele pytań ciśnie się w związku z tym, o czym Pani mówi, a co jest dla nas tak nieoczekiwane, obawiamy się jednak, że może bylibyśmy zbyt niedyskretni. Czy nie byłoby to zbyt dalekie wkraczanie w Pani prywatność, gdybyśmy wszakże przynajmniej zdziwili się: wygląda Pani na osobę bardzo zdecydowaną, czemu, wobec takiego obrotu rzeczy z terapeutą, gdy tylko zorientowała się Pani, że stała się przedmiotem*

¹ Autentyczna wypowiedź Redakcji. (Przyp. D. D.).

jego agresji, dziwacznych ataków, że wyzwierza się na Pani, nie wycofała się Pani, nie rzuciła wszystkiego w diabły?

D. D.: Nie jestem kimś, na kogo wyglądam. Ale w tej sytuacji byłam więcej niż zdecydowana: byłam zdeterminowana. To wszystko było jak w scenie burzy w *Operetce*:

Formy dziwaczne, kształty oszalałe

Nie, nie znam, nie wiem, nie rozumiem, nie chcę

Nie chwytam, nie pojmuję...

... ale wiem, że sąd jest konieczny, że bez sądu nie można, nie trzeba... Niech to zostanie rozpatrzone!

Potrzeba sądu, czyli jednak właśnie rozumienia mimo wszystko – prawdziwe *pożądanie rozumienia* – należy do najgłębszych osobistych potrzeb człowieka, jest czymś, co człowiek znajduje na samym dnie swoich moralnych trzewi, na samym dnie swojego człowieczeństwa, jako jego warunek *sine qua non*:

...nie rozumiem, kto, kogo, dlaczego

I po co...

...ale wiem, że sąd jest konieczny, że bez sądu nie można,

nie trzeba... Nie, nie możecie bez sądu!

Z tej osobistej potrzeby rozumienia wywodzą się też upublicznione fragmenty mojego wysiłku rozumienia przedstawione w książce, o której mówimy. Jest to przeciwieństwo takich czy innych igraszek z klockami, które są teraz w naszej dziedzinie modne. Ta „burza” w *Operetce* dzieje się wewnątrz człowieka, między różnymi, sprzecznymi częściami jego „ja”, wewnątrz Każdego. Po menippejsku, aby odwołać się znów do Bachtina. Do menippejsko-karnawałowej interpretacji *Operetki* natchnął mnie jednak bezpośrednio nie Bachtin, ale polska prapremiera w reżyserii Kazimierza Dejmka, dlatego piszę o tym spektaklu we wspomnianej już części mojej książki, *Psychoanalitik w teatrze*. Oglądałam ten spektakl, będąc wówczas w jednej ze szczególnie intensywnych faz swojego procesu psychoanalitycznego, a taka intensywność to „najwyższe napięcie oczu i uszu duszy”, mówiąc słowami Mickiewicza o śnie, swoisty stan natchnienia, który wówczas rozprze-strzenia się na wszystko (z czym, skądinąd, nie zawsze łatwo żyć). Stan łaski (nieraz, skądinąd, bolesnej), który sprawia, że gdziekolwiek je-

steśmy, cóż dopiero w teatrze, rozpowijają się nam powoli – a nawet gwałtownie – w oczach przebogatę, ukryte warstwy znaczeniowe wszystkiego, na co patrzymy. Stąd szczególnie pisarska forma, trochę karkołomna, mojego sprawozdania z oglądania Dejmkowego arcyspektaklu. Dopowiem może, że po jakimś czasie, w świetle menippejskiej *Operetki* rozpowinęła mi się powoli w oczach menippejskość naszego dramatu narodowego, *Dziadów*, a potem do moich uszu dotarło krzyczące wprost, choć dotąd tego nie dosłyszeliśmy, śmiechowo-poważne zdialogowanie *Operetki z Dziadami*, Fiora z Konradem w Wielkiej Improwizacji. Tych jednak moich prac nie włączyłam do *Sztuki rozumienia*, bo to już będzie w innej książce.

RED.: *Czy możemy jeszcze wrócić do poprzedniego wątku, którego Pani nie dopowiedziała. Zaczęła Pani mówić o swojej osobistej historii psychoanalitycznej, ponieważ ma ona związek, jak Pani powiedziała, z Pani przekładami książek Bettelheima.*

D. D.: Rzeczywiście, nie dopowiedziałam tego. A związek jest taki. Po owych wstrząsach, o których mówiłam, zaczęłam rozglądać się, szukać: to chyba niemożliwe, aby takie zjawisko, którego tak potężnej, destrukcyjnej siły doznałam ze strony mojego terapeuty: zazdrość o płeć kobiecą, w emocjonalnym kontekście aż ‘matkobójstwa’, było dotąd nie odkryte, aby nikt nie natknął się na to i o czymś takim nie pisał. Wtrącę jeszcze, że dziwaczność owej historii, w której dla terapeuty byłam w jego malignie przeniesieniowej ‘matką’, wzmagало jeszcze to – naprawdę były to „kształty dziwaczne, formy oszalałe” – że byłam o wiele młodsza od terapeuty. Miałam jednak przekonać się wiele razy, że takie naturalistyczne szczegóły mogą nie mieć w procesach psychoanalitycznych – jak zresztą, często na naszą zgubę, w życiu – żadnego znaczenia dla owych przeniesieniowych, powtórzeniowych – spontanicznie dokonujących się również w życiu – konfiguracji emocjonalnych.

A więc, jak mówię, zaczęłam szukać. Od ‘ojcobójstwa’ mężczyzny, jak wiadomo, pękają półki psychoanalityczne...

Przepraszam, znów muszę coś wtrącić. Agresja mojego terapeuty była chyba dlatego aż tak gwałtowna (choć zawsze niby-skryta), że nie chodziło mu tylko o płeć: chodziło mu o mózg i płeć. Zazdrościł mi mojej płci, ale i głowy, bo rychło okazało się, że znam więcej prac Freuda niż

on (to obrazuje stan psychoanalizy w Polsce, odciętej od świata, a choć działo się to wiele lat temu, nie wiem, czy mimo wszystko tak wiele zmieniło się u nas w tej dziedzinie od tamtego czasu). Czyli okazało się, że nie tylko mogę urodzić dziecko, czego terapeuta nie może, a co, jak się okazało, skupiało w sobie cały wielki a trudny konglomerat uczuciowy, ale umiem też przeczytać książkę, a nawet ją napisać, to jest, że i atrybuty żeńskiej płci posiadam, i sztandarowy w naszej kulturze patriarchalnej atrybut męskiej płci – mózg, intelekt: że umiem również urodzić coś z głowy, co ma być, jak słyszymy od wieków, danym od natury przywilejem mężczyzny, wyższym odpowiednikiem prokreacyjnych możliwości kobiety. Terapeuta, będąc, jak w tej czy innej mierze każdy mężczyzna w naszej męskiej kulturze, jej męską ofiarą, zaczął popełniać na mnie dwa ‘zabójstwa’ przemieszane ze sobą: i ‘matkobójstwo’, i zarazem swoje nie załatwione dotychczas, jak się okazało, ‘ojcobójstwo’. To znowu pokazuje ówczesny stan psychoanalizy w Polsce, bo na świecie nikt nie może być terapeutą psychoanalitycznym, jeśli wpiery nie przeszedł własnej gruntownej analizy, zwanej dydaktyczną, i nie przeorał podczas niej własnych najważniejszych problemów nieświadomych (a za taki uważa się u mężczyzny, jak powszechnie wiadomo, przede wszystkim właśnie ów trudny konglomerat uczuciowy, zwany umownie ‘ojcobójstwem’). Chodzi o to, aby potem, w relacji z pacjentem, nie uaktywniły się nieświadomie własne problemy terapeuty, na szkodę pacjenta. Mój terapeuta takiej analizy nie przeszedł; jego własne problemy uaktywniły się w relacji ze mną; nazywa się to przeniesieniem zwrotnym. Poznałam sens tego pojęcia na sobie samej. Nie czynił tego w żadnym razie z rozmysłem. Dopiero potem zdał sobie z tego sprawę. Napisał mi: „Wykorzystałem Panią...”. Ale taka bywa właśnie potęga treści i impulsów nieświadomych, długo nie wydobywanych na światło rozumienia.

Wracam teraz do poprzedniego wątku. A więc, ‘ojcobójstwo’ zapełnia półki, rozmyślałam. Zazdrość o płeć, ale oczywiście o płeć mężczyzny, też zapełnia półki; ma to być specjalność kobiet. Freud mniemał, rozmyślałam dalej, że relacja między dzieckiem płci męskiej a matką jest j e d y n ą relacją wolną od ambiwalencji uczuciowej (nie, jednak pisał: „względnie wolną”, ale na to zastrzeżenie nie zwraca się uwagi), to znaczy, że jest relacją pozbawioną strony negatywnej; miałyby to być zatem antypody czegoś takiego jak ‘matkobójstwo’. Ale m u s i być coś o tym, choćby pośrednio... W końcu znalazłam właśnie *Symbolic*

Wounds Bettelheima, *Rany symboliczne*, z podtytułem *Rytuály inicjacji i zazdrość męska*. Książkę o męskiej zazdrości o płeć kobiet, o tym, jak bardzo mężczyźni chcieliby być tej samej płci, co kobiety, niekoniecznie rezygnując przy tym z własnej płci, na czym owa zazdrość – i zachłanność androgyniczna – polega, skąd się bierze i jakie miewa skutki, przeogromne, indywidualne i społeczne, w historii kultur ludzkich, od czasów prehistorycznych. To dlatego postanowiłam tę książkę przetłumaczyć. (Nawiasem mówiąc, tym prekursorskim studium Bettelheima, napisanym w latach pięćdziesiątych-sześćdziesiątych, stanowczo za mało interesuje się feminizm.) Ale dzięki *Ranom symbolicznym* odkryłam wtedy w ogóle dla siebie Bettelheima. Zaczęłam zdobywać go ze świata, książka po książce, a miało okazać się, że jest ich kilkanaście. Po jakimś czasie postanowiłam przełożyć jeszcze jego elementarż psychoanalityczny dla wszystkich, książkę o cudownych i pożytecznych baśniach. Potem przetłumaczyłam jednak jeszcze bezcenną książeczkę-esej *Freud i dusza ludzka*. I dwie rozprawy. Ale największe piarstwo Bettelheima to psychoanalityczne historie przypadku, tylko że są to książki ogromne. Psychoanalityczna historia przypadku to od czasów Freuda swoisty, nowy gatunek w piśmiennictwie XX wieku, dwudziestowieczne *zapiski z podziemia*. *Nota bene*, Bettelheim oczekiwał od personelu swojej instytucji psycholeczniczej dla dzieci odczytania w Szekspirze i Dostojewskim.

RED.: *W czasach, o których Pani mówi, bardzo trudno było zdobywać książki ze świata. To był wtedy dla nas wszystkich wielki problem, znaczna część naszych wysiłków zawodowych obracała się na to. W bibliotekach psychologicznych musiała Pani jednak coś chyba znaleźć, nie byliśmy już wtedy tak zupełnie odcięci od świata.*

D. D.: Centralny katalog wydawnictw zagranicznych w Bibliotece Narodowej wykazywał wtedy jeden jedyny egzemplarz jednej jedynej książki psychoanalitka-Bettelheima... w Zakładzie Kryminalistyki. Istotnie, jego prace czyta się jak kryminały, jak powieści detektywistyczne wyższej użyteczności publicznej. Przecież taką jest na przykład historia leczenia dziecka przestępczego. Historia detektywistycznego, bo psychoanalitycznego dociekania z uczynków chłopca, o co mu n a p r a w d ę chodziło, wewnątrznie, kiedy bezustannie uciekał, kradł, ni-

szczył, napadał *quasi*-seksualnie na kobiety, przelatywał na ulicach tuż przed pędzącymi samochodami, rzucił nożem w opiekunkę, gdy już znalazł się w Bettelheimowskiej instytucji psycholeczniczej.

Nota bene, daremnie kołatałam tu i tam, aby opublikować dla ludzi, a nie tylko dla nielicznych profesjonalistów, poprawiony za moją namową, dawny polski (z 1948 roku) przekład *Przypadku Harry'ego Bettelheima*, bo o nim mówię. A przestępczość dzieci wzrasta. I żąda się w związku z tym więcej więzień, a nie więcej światła.

Psychoanaliza to naprawdę nie jest ani wieża z kości słoniowej, ani twór karykaturalny sporządzany na użytek współczesnego konsumpcjonizmu, jak to widzimy zwłaszcza w praktykach społeczeństwa amerykańskiego. Wysitek duchowy, dogłębnie podmiotowy, zamieniono na masowy towar do kupienia, będący w dodatku produktem całkowicie sfałszowanym. Bettelheim, emigrant z Wiednia, ujął to lapidarnie, pisząc w eseju *Freud i dusza ludzka* (poświęconym właśnie temu, co zrobiono z Freudem w kulturze amerykańskiej), że wywodzące się z sokratejskiej tradycji europejskiej, Freudowskie „Poznaj siebie samego”, zamieniono na kontynencie amerykańskim na „Rób, co ci się podoba”. A gdzie indziej – i odnosi się to z kolei głównie do amerykańskiego behawioryzmu – pisał: „Znaczna część poszukiwań we współczesnej psychologii zmierza ku uzyskaniu wiedzy o innych; wydaje mi się, że nie są one dostatecznie zrównoważone przez równie usilne starania, by poznać samego siebie. Tymczasem jestem przekonany, że poznawanie innych – a to jest coś odmiennego niż zyskiwanie wiedzy o innych – może być jedynie funkcją poznawania siebie”. Dodam w związku z tym, że można by przedstawić psychoanalityczny sposób – środek wykonawczy – na miłość bliźniego. Bo nie sztuka miłować, sztuka umieć miłować. Wyrażałby się w sentencji: „Poznaj bliźniego swego jak siebie samego”. A nie jak przedmiot. Ale aby to umieć czynić, trzeba w pierw poznać siebie samego.

RED.: *Powiedziała Pani przed chwilą, że Bettelheimowskie historie przypadku uważa Pani za wielkie pisanstwo. Czy miała Pani na myśli, może między innymi, ten wymiar etyczny? Tylko że w takiej postawie – od Sokratesa, który sądził, że samo poznanie czyni ludzi lepszymi, po goetheańskie „Więcej światła!”, które tu padło – jest wiele, jak nie od dziś wiadomo, szlachetnego, ale i złudnego idealizmu.*

D. D.: To prawda. Może nawet chcielibście powiedzieć, że to pachnie receptą na zbawienie ludzkości, a wiadomo, co myśleć o takich receptach. To jest idealizm. Więcej, jest w tym nawet wiele z prawdziwej utopii. Jeśli brać to w abstrakcji. Ale nie dla tej istoty ludzkiej, tu i teraz, jednej jedynej na całą wieczność, którą mamy przed sobą, a którą idealizm ten przywraca do życia, mimo że możliwość życia została w niej w niepojęty i – jak dotąd okazywało się – nieuleczalny sposób zniweczona, i to już w kolebce. Bo to właśnie pozwalają nam śledzić Bettelheimowskie historie przypadku, psychoanalityczne, więc między ludzkimi historiami leczenia – wyłącznie substancjami psychicznymi, biorącymi się z obcowania międzyludzkiego, a nie farmakologicznymi – małych dzieci cierpiących na ciężkie zaburzenia psychiczne. W rozmowie, jaką niedługo przed śmiercią Bettelheima przeprowadził z nim Guy Sorman (można ją przeczytać w jego książce *Prawdziwi myśliciele naszych czasów*), Bettelheim powiada, że to, co zrobił w życiu, to tylko wyleczenie garstki dzieci; nie może dostarczyć prostego lekarstwa na choroby naszego wieku. Ale gdy śledzimy historię psychicznego leczenia tego właśnie dziecka z owej garstki, a potem tego, to jest, gdy śledzimy ogrom wysiłku, ogrom najosobistszego i na wskroś zindywidualizowanego zaangażowania każdej z osób należących do personelu leczącego, i to przez lata całe, wkładany w przywracanie możliwości życia temu dziecku – które najpierw, gdy pojawia się w instytucji psycholeczniczej Bettelheima, jest niemą i znieruchomiłą kariatydą ludzką – wtedy zaczynamy zdawać sobie sprawę, jaki w takim leczeniu garstki dzieci skrywa się – chciałam powiedzieć: patos etyczny, ale to właśnie jest, z racji tego ukrycia, anty-patos etyczny. Jest to personalizm dosięgający utopii. Rozprawie, w której porównuję (w mojej książce) doświadczenie psycholecznicze Bettelheima i doświadczenie wychowawcze Korczaka, wyrażone w pisarstwie obu, dałam tytuł *Korczak i utopie realizowane XX wieku*. Psychoanaliza jest pansemantyczną koncepcją człowieka, patrząc od jednej strony, o której mówiliśmy na początku, i to jest jedna jej wielkość w naszym świecie ludzkim, bo dzięki temu tak wiele ze świata ludzkiego pozwala zrozumieć. A patrząc na nią od innej strony, jako na określony rodzaj terapii czy szerzej – wspomagania człowieka w trudnym zadaniu, jakim jest istnienie, jest personalizmem: proces psychoanalityczny, wbrew rozpowszechnionym mniemaniom, to proces do głębi zindywidualizowany, a istota ludzka, która jest jego podmiotem (podmiotem, powta-

rzam, nie przedmiotem), jest w nim tak ważna, jakby to była w jej osobie cała ludzkość.

Wiem, powiecie, że to są ideały; albo że nieliczne zdobywane szczyty; a tu rzeczywistość skrzeczy. Ale gdzie nie zdarza się, że skrzeczy? W jakiej dziedzinie tego nieszczęsnego świata nie ma takiego rozziwu, nie bywa? Jakiego wynalazku ludzkości nie obrócono przeciw jego celowi? Wiem, że istnieją tzw. freudyści, że istnieje psychoanalityczny żargon (jeszcze raz polecam lekturę *Freuda i duszy ludzkiej*: w jaki sposób język Freuda zamieniono na żargon), że istnieje psychoanaliza bazarowa, jak to nazwał Bettelheim w rozmowie z Soranem. Ale nie o tym mówię.

RED.: *Tak, wiemy, że Panią interesują wyłącznie szczyty. Uprzedzała nas Pani, że nie będzie mogła z nami długo rozmawiać, bo właśnie spakowała plecak i wyrusza w góry. Pozostawia nas Pani jednak z wieloma jeszcze pytaniami, wątpliwościami, podejrzeniami...*

D. D.: ...że powieściowo wymyślałam albo co najmniej semantycznie przesadzam, jak to już usłyszałam, tak? Wszystko, co opowiedziałam, jest prawdą i tylko prawdą, choć nie całą prawdą, bo wtedy musielibyśmy tu przesiedzieć tysiąc i jedno popołudnie.

lipiec 1997